

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



## O naszej najdawniejszej pieśni.

Światło wiary prawdziwej, wiary chrześcijańskiej padło na ziemię naszą jeszcze za panowania pierwszego księcia Mieczysława czyli właściwiej Mieszki (t. j. Niedźwiedzia). Ukazali się na ziemi polskiej księża, którzy uczyli naszych ojców pogańskich słowa Bożego, zakładali szkoły, budowali kościoły.

Opierał się z początku lud pogański zwiastunom „dobrej nowiny”, t. j. Ewangelii Chrystusa Pana, bo nie rozumiał jeszcze, że ze wszystkich „nowin” ta jedna jest prawdziwą, ta jedna świętą. Ale z biegiem czasu zrozumiał to, pokochał prawdziwego Boga, nauczył się czcić Ukrzyżowanego Zbawiciela, a serce swoje oddał Jego Matce Przenajświętszej. I wyrażał tę swą miłość, jak umiał: modlił się, spowiadał, pokutował, chodził do kościoła, aż wreszcie zapragnął czcić swego Boga i Pannę Najświętszą, już nie tylko sercem i nie tylko słowem modlitwy, ale i słowem pieśni, słowem śpiewaniem

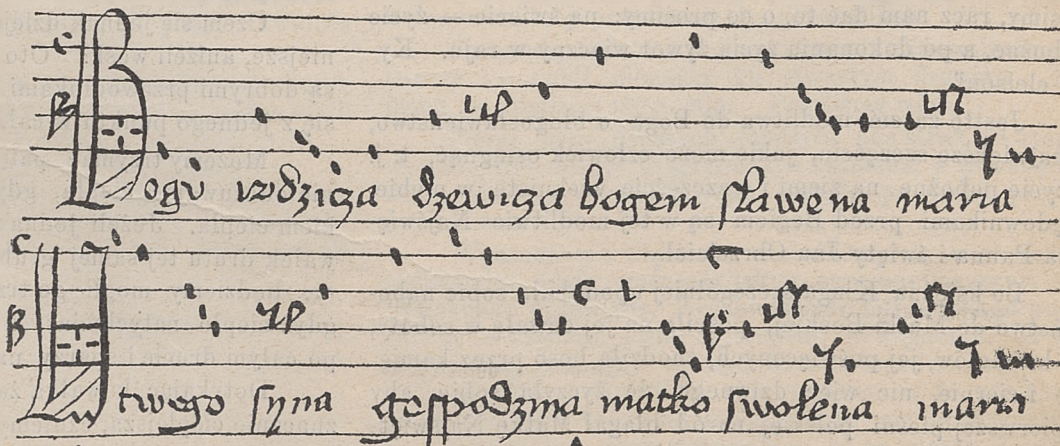
Ale cóż, kiedy przez długi czas nie było ani jednej pieśni polskiej!

Ksiądz, stojąc przy ołtarzu lub na kazalnicy, śpiewał pieśni łacińskie, a lud, chociaż ich nie rozumiał, bił się w piersi i wołał głośno po kilka, a nawet po kilkanaście razy: „Kyrie eleison,” to jest: „Panie! zmiłuj się.” Otóż to mu już nie wystarczało: rosła w sercach pobożność, więc i usta domagały się słów, któreby wyraziły to, co było w sercu.

Aż nakoniec znalazły się takie słowa: w wieku XIII, t. j. w owych czasach, kiedy to Tatarzy po raz pierwszy na Polskę napadli, w Sączu, w klasztorze p. p. Klarysek, zabrzmiała pewnego wieczora pieśń: „Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja”. Z Sącza rozeszły się słowa i nuta tej pieśni po całej ziemi polskiej, obiegły chaty wiejskie i zamki rycerskie, — wszędzie, gdzie tylko w piersiach serce gorące biło, śpiewano tę pieśń i kochano i czczono, jak świętość jaką.

Ale bo też zawdzięczano ją świętej, — świętej Kindze, Węgierce rodem, lecz Polce duchem, małżonce księcia Bolesława Wstydlivego, która, po śmierci męża, wstąpiła do klasztoru Klarysek w Sączu, aby już wyłącznie Panu Bogu służyć.

Lecz w ciszy klasztornej nie zapomniała o swoim narodzie, i ona, która, po przybyciu do Polski, wniosła z sobą prawdziwe błogosławieństwo Boże, bo i żupy solne w Bochni odkryła, i modlitwą swoją nieszczęścia narodu łagodzi-



Podobizna rękopisu naszej najdawniejszej pieśni.

ła, — ona pierwsza pomyślała o tem, aby naród polski mógł Boga pieśnią we własnej mowie wielbić.

Więc uprosiła swego spowiednika, pobożnego księdza Boguchwałę, aby pieśń po polsku ułożył na chwałę Boga, a na pożytek ludziom. Nie odmówił prośbie pani świątobliwej zakonnik i ułożył pieśń, która brzmi tak:

*Bogurodzica dziewica,  
Bogiem sławiona Maryja,  
Twego Syna gospodzina,  
Matko zwolena, Maryja,  
Zyszczy nam, spuści nam.  
Kyrie eleison!*

\* \* \*

*Twego dzieła Chrzciciela, bożyce,  
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze!  
Słysz modlitwę, jż nosimy,  
To dać racz, jegoż prosimy,  
A na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebyć.  
Kyrie eleison!*

Oto jest najdawniejsza nasza pieśń pobożna, która dzisiaj liczy sobie już przeszło sześćset pięćdziesiąt lat. Śpiewano ją i po kościołach, i w czasie pielgrzymek do miejsc świętych, lecz nadewszystko śpiewało ją rycerstwo przed bitwą. Tak, na przykład, kiedy, za panowania króla Jagiełły, na polach Grunwaldu stanęły naprzeciwko siebie zastępy wojsk polskich i krzyżackich, rycerze nasi, zanim rzucili się na Niemców, zaśpiewali chórem tę pieśń świętą. Dzisiaj w katedrze gnieźnieńskiej co niedziela staje przed trumną świętego Wojciecha duchowieństwo, i rozlegają się we wspaniałej świątyni te same słowa, które niegdyś z pól Grunwaldzkich wzbily się ponad gwiazdy i aż do świętego Stanisława doszły.

A teraz przyjrzyjmy się bliżej „Bogurodzicy”, która jest nie tylko naszą najstarszą pieśnią religijną, ale zarazem najdawniejszym w ogóle utworem poezji polskiej. Nie każdy może ją zrozumieć, bo język zmienił się przez półsiódma wieku; gdyby ją dziś układano, brzmiałaby tak:

„Matko Boża, dziewico, przez Boga wślawiona Maryo, pozyskaj nam, spuść nam Twego Syna Pana, wybrana (przez Boga) matko, Maryo! Kyrie eleison”.

„Synu Boży! W imię Chrzciciela Twego, usłysz głosy, napełń (Sobą) myśli człowiecze, usłysz modlitwę, którą zanosimy, racz nam dać to, o co prosimy: na świecie — życie pobożne, a po dokonaniu życia żywot wieczny w raju. Kyrie eleison”.

Jestto zatem modlitwa do Boga o błogosławieństwo, o największe szczęście, jakie może człowiek osiągnąć, t. j. o życie pobożne na ziemi i o szczęście wiekuiste w niebie; orędownikami przed Bogiem są w tej modlitwie Najświętsza Panna i święty Jan Chrzciciel.

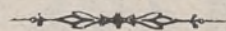
Bo księżna Kinga szczególnie upodobała sobie nabożeństwo do Matki Boskiej, pościła na jej chwałę w soboty, do kościołów, jej poświęconych, chodziła boso przez kamienie i ciernie, nie więc dziwnego, że życzyła sobie, aby w pierwszej pieśni polskiej naród błagał Matkę Najświętszą o orędownictwo przed Jej Synem.

A względem świętego Jana Chrzciciela miała Kinga, jak opowiadają, wielkie obowiązki wdzięczności.

Kiedy poślubiła księcia Bolesława, zaraz po ślubie ukłękła przed nim i w imię Boga Ojca zakłęła go, aby się łagodnie z nią obchodził. Bolesław, wzruszony jej łzami i prośbą, przyobiecał uroczyście, że nigdy zniewagi od niego nie dozna. Po dwu latach jednak Bolesław rozgniewał się na Kingę i przestał z nią rozmawiać. Wówczas pani świątobliwa oddała się w opiekę świętemu Janowi Chrzcicielowi; i oto w samą wigilię swego święta (t. j. 22 Czerwca) ukazał się jej święty Jan i obiecał, że jej nie opuści, że, o cokolwiek w imię Jego prosić będzie, otrzyma. I tak się stało. Nazajutrz, wychodząc z kościoła, spotkała Kinga Bolesława i w imię Jana św. prosiła go, by i nadal był dla niej dobry. Książę pozdrowił ją serdecznie, utulił jej łzy, spełnić jej prośbę obiecał i obietnicy dotrzymał. Oto dla czego przez wdzięczność dla św. Jana, prosiła spowiednika, aby w pieśni, którą miał ułożyć, wymienić nietylko Matkę Boską, ale i Tego, który ochrzcił Zbawiciela.

Takie są dzieje najdawniejszej naszej pieśni religijnej, której autorstwo przypisywano długi czas mylnie św. Wojciechowi.

Ign. Chrzczanowski.



## Pogadanki z dziedziny chemii.

### XIX. Atomy i ciepło.

Teorja atomistyczna uzyskała dzielne poparcie na zupełnie innych drogach, niżeli chemiczne doświadczenia. Odkrycie, stwierdzające ją, polega na następujących faktach.

Przypuśćmy, że ktoś kładzie na stole kawałeczek wosku, kawałeczek żelaza, skóry i stawia szklanę wody. Ogrzewajmy pokój, w którym znajduje się stół, dopóki termometr nie będzie wskazywał 15° C. Po upływie pewnego czasu przedmioty, znajdujące się na stole, także ogrzeją się do 15°.

Wprawdzie, dotykając rękę wosku, doznamy wrażenia, że jest on cieplejszy od leżącego obok żelaza; to samo zauważymy, dotykając innych substancyj, leżących na stole. Jest to jednakże złudzenie, gdyż termometr z łatwością nas przekona, że wszystkie te ciała mają jednakową temperaturę 15° C.

Czem się jednak dzieje, iż żelazo wydaje się nam zimniejsze, aniżeli wosk? Oto dlatego, iż metale w ogólności są dobrymi przewodnikami ciepła, które szybko rozchodzi się z jednego punktu w całą masę.

Możemy trzymać palącą się zapalkę za jeden koniec, nie odczuwając ciepła, gdyż drzewo jest złym przewodnikiem ciepła. Jeżeli jednak ogrzejemy z jednego końca kawałek drutu tej samej grubości i długości, co zapalka, to nie będziemy mogli go trzymać za drugi koniec palcami, gdyż ciepło natychmiast z ogrzanego końca rozejdzie się po całym drucie i sparzy nas w palec.

Dotykając kawałka żelaza, mającego tylko 15° ręką znacznie cieplejszą, czujemy, że żelazo odbiera nam ciepło i rozprasza je w całą swoją masę, dla tego właśnie dozna-

jemy uczucia chłodu. Tymczasem zbliżając rękę do wosku naprzykład, ogrzewamy ręką to miejsce, którego dotykamy, ale ponieważ ciepło nie może się rozproszyć zaraz w całej masie wosku, przeto ogrzane miejsce nie traci swego ciepła i wydaje się nam cieplejsze.

Inaczej jednak dzieje się, jeżeli wyżej wymienione substancje zapagniemy ogrzać o 1 stopień wyżej. Przypuśćmy, że trzeba ogrzać kawałek wosku, mający temperaturę 15°, do 16°. W takim razie musimy na to zużyć pewną ilość ciepła; podobnie musimy zużywać ciepło, ażeby ogrzać o 1 stopień wyżej inne substancje. Jednakże ilości ciepła potrzebne do tego celu nie są jednakowe. Przypuśćmy, że wszystkie kawałki z wymienionych materyałów są jednakowej wielkości, przenieśmy je wraz ze stołem do sąsiedniego pokoju ogrzanego do 16°, a zauważymy przy pomocy termometru, iż najprędzej osiągniemy temperatury 16° żelazo, natomiast skóra będzie potrzebowała na to znacznie więcej czasu, woda jeszcze więcej, drzewo zaś będzie się ogrzewało najdłużej do 16°.

Takie samo zjawisko obserwujemy na wszystkich substancjach, jakie tylko znajdują się w świecie. Robiąc doświadczenia ze wszystkimi pierwiastkami, fizycy doszli do przekonania, że najprędzej ogrzewa się ołów, za nim cyna, później żelazo, następnie siarka i t. d.

Liczne doświadczenia przekonały nas, że owa ciepłota znajduje się w ścisłym związku z atomami i z ich liczbą w związkach.

Wł. U.

H. G. Wells.

## PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)



bardzo dziwna wiedza! — zawołałem z goryczą. — Panie Bedfordzie — rzekł Cavor poważnie, — czyż nie z własnej nieprzymuszonej woli udałeś się pan ze mną na tę wyprawę?

— Tak jest, bo pańska wiedza i wynalazczość zachwyciły mnie po prostu, i przez myśl mi nie przeszło, żeby ta sfera, nad której zbudowaniem pracowaliśmy tak gorliwie, zawiodła nas do tej ciemnicy.

— A myślisz pan, że gdy ja zacząłem pilnie badać fizyczne własności różnych ciał, to przeszło mi przez myśl, że podążę kiedyś na księżyc?

— Ach ta przekłeta uczoność! — zawołałem.

— Panie Bedfordzie, kłótnie i wymówki do niczego nie doprowadzą, jesteśmy w takim położeniu, że potrzebujemy wielkiej rozwagi, aby się zeń wydobyć, gniew zaś się na nic nie przyda, przeciwnie.

Umilkł, a po chwili ciągnął dalej.

— Najprzód trzeba znaleźć sposób porozumienia się z Selenitami, może na migi, bo mowy ich podobnej do świsu piszczalki pewnie nigdy nie zrozumiemy.

— Ja sądzę, — rzekłem, — iż łatwiej byłoby nam porozumieć się z każdym zwierzęciem na ziemi, niż z tymi księżycowymi cudakami.

— Nie jestem bynajmniej pańskiego zdania; Selenici są to istoty rozumne, a choć wielka jest różnica między nami a nimi, jednak rozum może być iskrą porozumienia między istotami obdarzonymi tą władzą duszy. —

— Może pan ma rację, — odrzekłem, — ale jakoś nie mogę sobie wystawić tej duszy selenickiej.

— A jednak łańcuchy, któremi nas skuli dowodzą jasno, że posiadają inteligencję.

— Co nam przyjdzie z ich inteligencji, kiedy ani my ich, ani oni nas nie rozumieją. Ale dobrze mi tak! zamiast pisać spokojnie w Lympe moją sztukę teatralną, zachciało mi się wielkich rzeczy — podróży naukowych, zwiedzania nowych, nieznanych światów, dobrze mi tak!

Umilkłem, a w tej chwili ciemności naszego więzienia rozjaśniła, jak to już raz miało miejsce, smuga błękitnego światła. Drzwi się otworzyły i bez najmniejszego szelestu weszło kilku Selenitów. Dwóch z nich niosło naczynia metalowe, a gdy się zbliżyli, zobaczyłem, że były pełne jakiejś jasno brunatnej polewki, w której pływały białe kawałki; wszystko to zapachem przypominało owe czerwone grzyby.

Ręce moje były tak silnie skute, że nie mogłem niemi objąć naczyń, które mi podawał Selenita, co widząc, dwaj inni zbliżyli się szybko i bardzo zręcznie rozluźnili moje okowy.

Zbliżyłem do ust polewkę i piłem chciwie, potem wyłowilem białawe kawałki i nakładłem ich pełne usta, były bardzo smaczne, zupełnie podobne do ziemskich wafli. Zanim nam przyniesiono ten posiłek, byliśmy tak zajęci naszymi myślami, że nie czuliśmy głodu, teraz zaś pochłanialiśmy podane jedzenie jak zgłodniałe wilki.

Selenici stali przy nas i bacznie nam się przypatrując, od czasu do czasu mówili coś do siebie w swej dziwnej piskliwej mowie. Gdyśmy skończyli nasz posiłek, zacieśnili nam znów kajdany na rękach, a rozluźnili na nogach, odczepili łańcuch, który nas przykuwał do ściany, otworzyli szeroko drzwi, przez które widać było gromadę towarzyszy i zaczęli nam dawać jakieś znaki.

— Zdaje się, że nas chcą uwolnić — rzekł Cavor — pamiętaj pan, że jesteśmy na księżycu, hamuj żywość swych ruchów.

— Dobrze, dobrze — odrzekłem machinalnie, gdyż zaciekał mnie jeden Selenita, który usilnie kręcił głową, jak człowiek, któremu dokucza niewygodny kołnierzyk; końiecznie chciałem zrozumieć, co ten ruch może znaczyć, a nie mogąc go pojąć, zacząłem tak samo jak on kręcić głową.

To bardzo zastanowiło Selenitów, i wszyscy tak samo zaczęli kręcić głowami, lecz my obadwaj nie zrozumieliśmy nic. Nareszcie jeden z nich, grubszy od innych, z ustami tak szerokimi jak paszcza żarłocznego zwierza, przykucał obok Cavora, a po po chwili wstał.

— Cavorze — rzekłem — oni chcą, byśmy stanęli na nogach.

— Zapewne — odrzekł, i choć z pewną trudnością, bo nam kajdany przeszkadzały, powstaliśmy.

Ów gruby Selenita pogłaskał nas z zadowoleniem po twarzy i poszedł pierwszy ku otwartym drzwiom. Było jasne, że mieliśmy iść za nim. Poszliśmy więc.

Zaraz przy drzwiach otoczyła nas straż. Czterech wysokich Selenitów w spiczastych hełmach, w pewnego rodzaju zbroi, z pikami w rękę stanęło po dwóch przy każdym z nas.

Wyszedłszy z więzienia, znaleźliśmy się w obszernym podziemiu, gdzie warczały jakieś ogromne maszyny, bardzo szybko działające. Zrozumieliśmy od razu, skąd pochodził szum i łoskot, który słyszeliśmy w więzieniu. Z wielkiej jednej maszyny wychodziło owe łagodne światło błękitnawe, które oświetlało całe podziemie, to nas bardzo zainteresowało, więc przystanęliśmy, aby się jej przypatrzeć.

Cavor był zachwycony tem, co tu ujrzał, i zawołał z zapalem uczynego:

— Ależ te istoty są mądrzejsze od nas! Czy ludzie umieliby zrobić coś podobnego?

Tymczasem gruby Selenita, widząc żeśmy się zatrzymali, wrócił po nas, a że wciąż staliśmy zapatrzeni u maszyny, chcąc zwrócić naszą uwagę, dotknął lekko swą chłodną ręką naszych twarzy. Drgnąłem pod dotknięciem tego śliskiego ciała, i rzekłem.

— Jakby mu to dać poznać, że nas te maszyny interesują?

— Spróbuję — odrzekł Cavor, i uśmiechając się porozumiewająco, wskazał ręką na maszynę a potem na swą głowę. Selenici, których cała gromada postępowała za nami, zaczęli kiwać głowami jakby ze zdziwienia i coś żywo mówić do siebie. W końcu jeden z nich, cienki i wysoki jak tyczka, wziął wpół Cavora i lekko popchnął go naprzód.

Cavor szarpnął mu się, przecząco potrząsł głową i rzekł żywo:

— Pojmijcie raz na zawsze, że nie jesteśmy zwierzętami, lecz istotami obdarzonymi takim samym rozumem, jak wy. Pozwólcie mi popatrzeć na waszą maszynę, za chwilę pójdę, gdzie każecie.



Dobłą już godzinę szliśmy za naszym przewodnikiem...

Na tę odezwę mego towarzysza jeden z czterech uzbrojonych Selenitów uklął go piką. Krew trysnęła, Cavor krzyknął i skoczył na sześć stóp wysoko, a ja z groźnym gestem zwróciłem się do mego strażnika, który cofnął się w tył natychmiast, a za nim cała gromada Selenitów.

— Oni nas zabiją — rzekł Cavor i urwał, bo gniew go dławił.

— Niech ich wszystkich лихо porwie! Nie dam im się kłóć jak baran, musiny się bronić — zawołałem.

Spojrzałem na prawo i na lewo, nie było widać żadnego wyjścia z tego obszernego podziemia, straż uzbrojona, cała gromada tych wstrętnych istot, przeciwko nam dwóm skutym kajdanami. Położenie było bez wyjścia!

Ochłonawszy z gniewu, Cavor trupio blady w tem błękitnawym świetle, zbliżył się do mnie, i kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Niestety, oni nas nie rozumieją! Musimy iść, gdzie nas prowadzą.

— Żebym miał tylko wolne ręce, tobym im pokazał!

— Na nicby się to nie zdało — rzekł smutno. — Chodźmy dalej.

I poszedł a ja za nim, lecz idąc, bacznie się przypatrywałem moim kajdanom i w cichości pracowałem, żeby złamać lub rozerwać jedno ogniwo.

Naraz Cavor rzekł:

— Jeżeli budują takie wielkie maszyny, to muszą znać geometryę i rysunek, może w ten sposób porozumiemy się.

— Dobrzeby to było, żebyś pan narysował jaką figurę geometryczną, żeby nareszcie zrozumieli, że jesteśmy istotami cywilizowanymi, nie gorszymi od nich.

— Łańcuchy mi przeszkadzają i nie mam czem narysować, ale czuję to, że jak się raz porozumiemy, to wszystko pójdzie dobrze.

Dobłą już godzinę szliśmy za naszym przewodnikiem, jakby po strumieniu błękitnawego światła, które przystawało do stóp, i zauważyłem, że spuszcza się coraz niżej po równej pochyłości; naraz stanęliśmy nad czarną jakąś, szeroką przepaścią, przez którą rzucona wążka deska stanowiła jedyne przejście; koniec tej wężkiej kładki tonął w ciemności. Stojąc nad brzegiem, nie mogliśmy dojrzeć dna czarnej otchłani.

Przewodnik nasz dotknął mego ramienia, wstąpił na deskę i lekkim krokiem szedł po niej, aż zniknął nam z oczu, drugi Selenita poszedł za nim, dając nam znak, abyśmy także poszli, ale my staliśmy, nie ruszając się z miejsca, a dookoła nas straż i cały tłum tych mieszkalców księżycy. Deska była tak wążka, że wprost czułem zawrót głowy na samą myśl wstąpienia na nią.

Dwóch moich strażników wzięło mnie za ramiona i lekko pociągnęło ku desce, lecz w tejże chwili udało mi się oswobodzić z kajdan lewą ręką, wyrwałem im się i pokazując ręką w kierunku przepaści, kiwałem głową przecząco, mówiąc:

— Ja tam za nic w świecie nie pójdę.

Wtedy jeden ze strażników uklął mnie mocno w plecy swą ostrą piką, skoczyłem ku niemu chcąc mu wyrwać broń, a on drugi raz jeszcze mocniej mnie zranił. Wściekły z bólu, rzuciłem się na niego, przebiłem go na wylot jego własną piką, padł na ziemię; zdziwiło mnie moje łatwe zwycięstwo. Trzech innych strażników rzuciło swą broń i uciekło również jak i cały tłum, my zaś obawiając się odwetu, postanowi-

liśmy się ukryć w jednej z bocznych, ciemnych jaskiń pod ziemią.

### XIII.

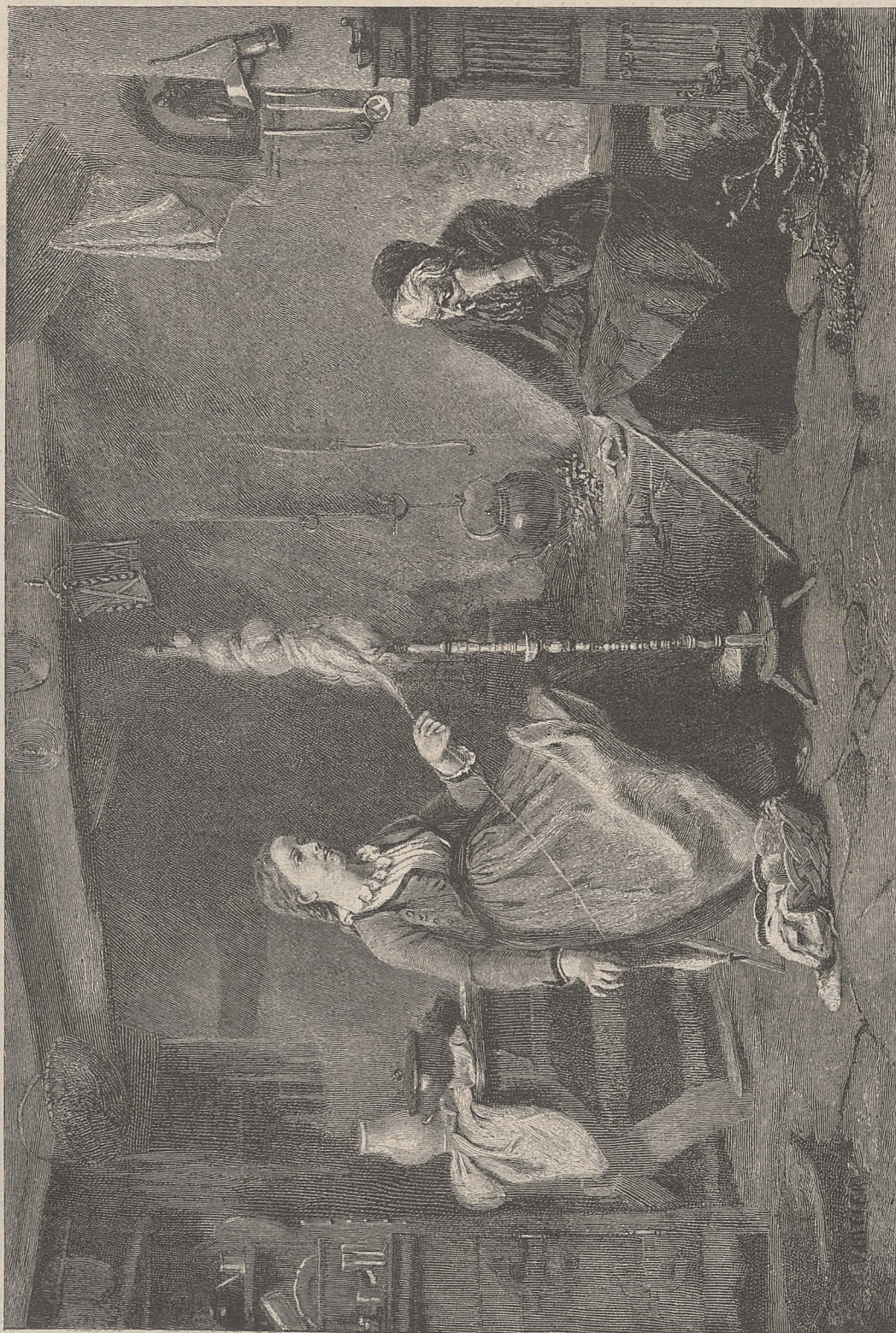
#### Jeszcze walka.

Szliśmy szybkim krokiem tą samą drogą, która doprowadziła nas do przepaści, tylko w odwrotnym kierunku. Z prawej i lewej strony słyhać było piskliwe krzyki i nawoływania, nie uważaliśmy na to wszystko, szybko oddalając się od kładki, aż dotarliśmy do ciemnego tunelu, gdzie już zupełnie było cicho. Zawahaliśmy się trochę, nie wiedząc, czy nie spotka nas znów jaka przykra niespodzianka w tej czarnej szyi, lecz bojąc się pogoni Selenitów, puściliśmy się naprzód ostrożnie, badając grunt pikami, i szliśmy wolno, stąpając lekko, aby nie słyszano naszych kroków.

Naraz Cavor stanął i szepnął:

— Belfordzie, jakieś światło przed nami!

Podniosłem oczy, istotnie postać Cavora, który stał o dwa kroki przede mną, rysowała się ciemnym konturem na trochę jaśniejszym tle, a nie było to niebieskawe światło, wypływające z owej tajemniczej maszyny, lecz jakby szary blask świtu. Serce mi drgnęło radością i nadzieją.



Wiosna i zima (patrz wiersz str. 366).

— Więc może już wyjdziemy nareszcie z tych mroków — pomyślałem.

Cavor szedł prędko naprzód, podążyłem za nim. Światło było coraz jaśniejsze, wkrótce tunel rozszerzył się w obszerną grootę pełną szaro srebrnego światła. Wchodziło ono tam z góry przez szeroką szczelinę w sklepieniu groty, z której spadło mi na głowę kilka kropel wody, gdy przystanawszy przypatrywałem się.

— Cavorze — rzekłem — gdy podsadzimy jeden drugiego, to dostaniemy się do tej szczeliny.

— Dobrze — odrzekł — ja pana podsadzę.

Na ziemi byłoby to zupełnem niepodobieństwem, tu jednakże, wziął mnie jak dziecko na ręce i podniósł w górę. Wobec mniejszej siły przyciągania na księżycu, każdy z nas ważył znacznie mniej, a siłę miał tę samą. Chwyciłem rękami za krawędź szczeliny, wciągnąłem się z łatwością wyżej, usiadłem wygodnie na skale, która była tuż obok opierając nogi na krawędzi, i rzekłem do Cavora, pochylając się ku wnętrzu groty.

— Ja ukłknę teraz na brzegu i wyciągnę rękę, pan się jej uchwycić mocno, to go tu wciągnę.

Za chwilę Cavor był obok mnie, na księżycu ciała nasze były tak lekkie, że łatwo było wdzierać się na wysokości nawet bez kija góralskiego. Rozpatrując się w nowej miejscowości, zobaczyliśmy ze smutkiem, że to srebrno szare światło, nie było dziennem światłem, lecz silnym fosforycznym odblaskiem, od jakichś srebrzystych grzybów, które tu rosły na wielkiej przestrzeni. Deptałem je ze złością, w końcu usiadłem na złomie skały i rzekłem z goryczą:

(d. c. n.)

## Wiosna i zima.

Szary dzień kona... pora jesienna

Chmurami niebo zasłania;

Skryła się słońca tarcza promienna.

Słychać wichrowe łkania...

Wieczór się zbliża... W cichej izdebce

Ognisko serca weseli,

Przy niem staruszka coś z cicha szepce;

Tuż dziewczę przy kądzieli.

Oczy staruszki w ziemię utkwione:

Wspomnieniom, zda się, oddana;

Od lat przeżytych ciało zgarbione,

Zmarszczkami twarz zorana.

Babunia szepce, mówi coś zcicha,

A dziewczę słucha ją hoże;

Twarz mu się młodem życiem uśmiecha,<sup>1</sup>

I w oczach błyszczą zorze.

— Pytasz się, wnuczko, pytasz się, droga,

Czemu jam taka milcząca?

Czemu westchnienia moje do Boga

Tajemny ból zamąca?

— Chciałabyś lepiej, bym ci piosenkę

Z lat moich młodych nuciła:

Kiedy twój dziadek szedł na wojenkę,

A jam się zań modliła?

— Widzisz, kochana, tyś jako ptaszę,

Młoda, ochocza, radosna;

Różne są drogi i lata nasze

Ja zima, a ty wiosna...

— Życie dopiero rąbek podwoi

Przed tobą, wnuczko, odsłania;

Mnóstwo się myśli w twej głowie roi...

Jam bliska już rozstania!

— Świat ci się zdaje uroczą tęczę;

Życie się tobie uśmiecha...

A twoją babkę lata już dręczą;

Wesela zmilkły echa...

— Lecz nie narzekam: lat żyłam wiele!

Daj Boże przeżyć ci tyle!

Była i młodość, było wesele;

Były i smutne chwile...

Umilkła... Jasne czoło dziewczicy

Myśl tęskna chmurką przesłania...

Wieczór już zapadł; cisza w świetlicy;

Za oknem wiatru łkania...

Alfred Ludowski.

## NOWA KOLEŻANKA.

### I.



anna Teresa Śliwicka siedziała w swoim pokoju, czytając list, który z poczty odebrała. Była to już niemłoda osoba, niezmiernie miłej i ujmującej powierzchowności, mieszkała sama w Warszawie i zwykle opiekowała się panienkami, uczącemi się na pensyi lub prywatnie. I teraz miała cztery lokatorki, których głosy dawały się słyszeć w przyległym pokoju, były to panienki w wieku 14 — 16 lat. Mania i Antosia Kolskie chodziły na pensję, Julcia Darewiczówna brała lekcye muzyki w konserwatoryum, a prócz tego uczyła się innych przedmiotów wraz z Irenką Janowską od przychodzących nauczycielek. Panna Teresa lubiła je wszystkie i otaczała serdeczną troskliwością, to też panienki odpłacały się jej szczerem przywiązaniem.

Obecnie pocziwa panna Teresa była w prawdziwym kłopotcie; bardzo dawna i dobra znajoma, mieszkająca na wsi, chciała w umieścić u niej swą siostrzenicę, 14 letnią Wandę Gąsiewską, dla kształcenia się w muzyce, oraz w innych przedmiotach; w razie odmowy, Wanda pozostałaby na wsi, na czem najwięcej ucierpiałaby muzyka, do której Wanda miała wybitne zdolności. Panna Teresa zamysliła się głęboko: przy niewielkiem mieszkaniu, przyjęcie Wandy ujmowało trochę wygody jej samej i mieszkającym u niej panienkom, a nie przynosiło korzyści, gdyż Wanda miała płacić tylko połowę tego co inne.

— Jednak muszę ją przyjąć — rzekła panna Teresa do siebie. A widząc przechodzącą Irenkę, uwiadomiła ją o swoim projekcie.

— Jakto? Pani ma zamiar przyjąć tę panienkę? — spytała zdziwiona Irenka — wszakże niedawno odmówiła pani komuś z powodu braku miejsca.

— To prawda, lecz teraz jest co innego, byłam w wielkiej przyjaźni z jej matką, jest to poniekąd moim obowiązkiem przyjść z pomocą biednej sierocie i dać jej sposobność wykształcenia się w muzyce, która może zapewnić jej byt w przyszłości. Podobno już dziś gra bardzo ładnie.

— Czy pani jej nie zna?

— Widywałam ją często, gdy była małym dzieckiem, od sześciu lat nie widziałam jej wcale, lecz mam nadzieję, że pozostała tą samą, pocziwającą dziewczynką, i że będziecie zadowolone z nowej koleżanki.

Panna Teresa odwróciła się do okna i nie zauważyła uśmiechu trochę pogardliwego, z jakim Irenka wyszła do drugiego pokoju, gdzie znajdowały się trzy inne panienki.

— Czy wiecie, że przybywa nam towarzyszka! — zawołała od progu.

— Któż to jest?

— Jakaś sierota, znajoma panny Teresy, z ubogiej rodziny, jednym słowem, zdaje mi się, że nic osobliwego.

— A może będzie z nią weselej — rzekła Julcia Darwiczówna.

Irenka wzruszyła ramionami.

— Jak ona się nazywa? — spytała Mania Kolska.

— Gaska! — zawołała prędko Irenka.

Dziewczynki śmiać się zaczęły.

— Jakie ty masz zabawne pomysły, Irenko, ale my chcemy wiedzieć jej prawdziwe nazwisko.

— Wanda Gąsiewska; czy nie mam racji przezwąć ją gaską?

— Ja się tam wcale na nią nie cieszę — rzekła Mania — będzie nam bardzo niewygodnie, gdzież ona sypiać będzie? W tym pokoju niema miejsca na czwarte łóżko, nawet Julcia sypia w salonie.

— A ja nie myślę ustąpić mego kącika — dodała Julcia.

— No, to pewna, że i ja mego stolika nie oddam pierwszej lepszej „gąsce” — rzekła z przekąsem Irenka.

— Wyobrażam sobie, że to będzie nieznośne stworzenie.

— Jak wy się uprzedzacie — odezwała się najmłodsza z panienek, Antosia Kolska — a może to dobra dziewczyna.

— Dobra, czy nie dobra, ja się z nią przyjaźnić nie będę — wyrzekła stanowczo Irenka, która widocznie miała przewagę w tem młodem gronie.

## II.

We dwa tygodnie potem przybyła do Warszawy owa Wańdzia, tak niechętnie oczekiwana przez swe towarzyski! Trzeba przyznać, że nie usprawiedliwiała niczem tego uprzedzenia.

Po śmierci rodziców wychowywała się od lat siedmiu w domu biednej ciotki, która choć kochała ją i dbała o jej wykształcenie, była jednak dość surową. To postępowanie uczyniło nieśmiałą z natury Wandę bardziej zamkniętą w sobie, niż to zwykle bywa w tym wieku. Do tego usposobienia dziewczynki przyczynił się także brak młodego towarzystwa; wychowana na wsi, w okolicy pozbawionej blizkiego sąsiedztwa, rzadko spotykała panienki swego wieku, z żadną też nie zawiązywała przyjaznych stosunków. Najmilsze dla niej chwile stanowił przyjazd brata o rok od niej młodszego, który wakacje i święta spędzał u ciotki. Żyjąc wśród tych warunków, Wanda czuła się jednak zupełnie zadowoloną ze swego losu; zdolna i pracowita, garnęła się do nauki, miała szczególniej zamiłowanie do muzyki i oddawała się jej z zapalem. Dla muzyki też głównie wysyłała ją ciotka do Warszawy, a Wanda choć cieszyła się myślą dalszego kształcenia się, z żalem opuszczała dom ciotki, by zamieszkać wśród obcych zupełnie osób.

W posępny wieczór październikowy panna Teresa pojechała na Pragę, żeby spotkać Wandę, przybywającą wieczornym pociągami, poleciwszy Julce przygotowanie herbaty. Jadalny pokój oświetlony dużą lampą, przedstawiał wesoły widok, zebrały się w nim wszystkie panienki po ukończeniu lekcji.

— Poznamy nareszcie naszą gaskę — mówiła Irenka — ciekawam, co ona umie, panna Teresa dużo mówi o jej muzyce, ale co do innych nauk, nie wiem, czy nam dorówna.

— Jestem pewna, że nie dorówna — rzekła Mania — czegoż ona się tam na wsi mogła nauczyć?

— Słyszałam, jak panna Ziębowiczówna mówiła — wtrąciła Antosia — że każda panienka powinna skończyć pensję, albo przynajmniej uczyć się w Warszawie, jeżeli ma być wykształconą.

— To też przysyłają ją do Warszawy — rzekła Julcia.

W przedpokoju rozległ się dzwonek i panienki przerwały rozmowę, spoglądając ciekawie na towarzyszkę pannę

Teresy; Wanda była zręczna i na swój wiek dość wysoka, twarzyczkę miała nietyle ładną ile sympatyczną.

Panna Teresa zapoznała ją zaraz z panienkami.

— A teraz, moje dziecko, rozbierz się i siadajmy do herbaty, musisz być głodna i zmęczona podróżą.

— O nie, proszę pani, nie jestem wcale zmęczona, — rzekła Wanda trochę śpiwnym akcentem.

— Nie wiedziałam, że panna Wanda jest Litwinką — odezwała się Irenka.

— Ja właściwie nie jestem Litwinką, bo mieszkam jeszcze w Królestwie, jakkolwiek nad brzegiem Niemna.

— Doprawdy? A ja myślałam, że tylko Litwinki przeciągają — rzekła Mania.

— Ależ ja nie przeciągam — odparła Wanda — przynajmniej bardzo mało.

— *Ja nie przeciągam* — zaśmiała się Julcia, przedrzeźniając — a jak się nazywa taki akcent, panno Wando?

Dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

Wanda zaczerwieniła się.

— Nie widzę nic śmiesznego w moim akcencie — rzekła urażona.

— Moje panienki — odezwała się panna Teresa — nie zapominajcie o dwóch obowiązujących u mnie przepisach: najprzód powinnyście wszystkie bez wyjątku mówić sobie po imieniu, a następnie wyśmiewanie się wzajemne jest stanowczo wykluczone.

— Niech się pani nie gniewa — odrzekła Mania — nie wiedziałam, że Wańdzia się obrazi.

Przez chwilę trwało milczenie, potem panienki zaczęły rozmawiać między sobą, Wanda nie odzywała się wcale, czuła się smutną i obcą wśród tych nowych znajomych; przykro jej było przytem, że okazała się obrażoną ich żartami.

— Naraziłam się na śmieszność — rzekła sobie w duchu — ale one były złośliwe!

## III

Nazajutrz wypadła niedziela, panienki, wolne od nauki, zebrały się po południu w swoim pokoju.

— O czem tak myślisz, Wańdziu? — spytała Julcia — stoisz w oknie od godziny...

— Przyglądam się Warszawie.

— Nie znasz jej jeszcze?

— Nie, pierwszy raz tu przyjechałam.

Julcia spojrzała na nią zdziwiona.

— Jakto? pierwszy raz? Tak mi się to dziwnem wydaje, żeby kto nie znał Warszawy, ja przyjeżdżałam tu prawie co rok, będąc jeszcze małym dzieckiem.

— To co innego, twoi rodzice mieszkają tylko o parę godzin drogi koleją, moja ciotka zaś znacznie dalej, nic więc dziwnego, że nie miałam dotychczas sposobności być w Warszawie.

— Prawdziwa gaska — szepnęła Irenka do Mani.

Lecz ta zwróciła się do Wandy, nie odpowiadając na uwagę Irenki.

— Jestem pewna, że Warszawa tak ci się podoba, że nie zateśknisz do swoich stron.

— Wątpię, chociaż Warszawa wydaje mi się bardzo piękną, pewno nie pokocham jej tak, jak moje rodzinne strony.

— W takim razie — rzekła Irenka — możesz sobie powtarzać początek z „Pana Tadeusza.”

„Litwo! ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!  
Ile... ile...”

Zatrzymała się.

(d c. n.)



## ZE ŚWIATA.

**Porwany przez rekina.** Z Neapolu donoszą o przerażającym fakcie. Od czasu otwarcia kanału Suezkiego pojawiają się czasem w morzu Śródziemnym rekiny. Zwykle jednakże w skutek chłodniejszej temperatury wody na jesieni, straszą ci goście giną. Dotychczas nie zdarzyło się, aby kto padł ofiarą żarłoczności tych drapieżców. Ale niedawno właśnie zdarzył się taki wypadek w prowincji włoskiej Catanzaro.

Czterech młodzieńców, kąpiących się w morzu, zostało napadniętych nagle przez ogromnego rekina, który okrążył ich z daleka w taki sposób, by przeciąć im drogę do brzegu. Młodzieńcy zaczęli krzyczeć przeraźliwie i rzucili się do ucieczki. Kilku rybaków natychmiast pośpieszyło z pomocą na łodziach, ale kiedy byli już blisko, ujrzeli z przerażeniem, że jeden z uciekających został porwany przez rekina i z okropnym krzykiem zginął w głębinach morskich razem ze swoim strasznym napastnikiem. Trzej inni zostali uratowani, o czwartym niczego nie można było się dowiedzieć nad to, że woda w miejscu, w którym go rekin porwał, była zakrwawioną. Nieszczęśliwy liczył dopiero lat 18.

**Król Alfons.** Pismo hiszpańskie *Correo* opowiada, że król wychodząc z pałacu z królową matką i orszakiem, spotrządził księdza, który szedł z wiatykiem do chorego. Król, królowa i wszystkie osoby świty padli na kolana, monarcha następnie, zamiast wsiąść do czekającego powozu, polecił, aby ksiądz zajął w nim miejsce, sam zaś szedł za powozem z odkrytą głową aż do mieszkania chorego.

**Edison o aeronautyce.** Zapytywano niedawno Edisona, jaką przyszłość ma przed sobą balon, jako przedmiot użytku codziennego. Znakomity wynalazca odpowiedział. „Zdaje mi się, że w przeciągu lat 30-ci wszystkie koleje zastąpią lokomotywy parowe, motorami elektrycznymi, oraz, że samochody elektryczne wyrugują prawie zupełnie konie, jako zwierzęta pociągowe. Co się tyczy żeglugi napowietrznej, to nauka nie wykazuje dotychczas takich faktów, na zasadzie których można by przepowiedzieć aeronautyce praktyczne zastosowanie w przyszłości.

Pierwszy pancernik zbudowali Japończycy i to już

przed laty 300. Oficer angielski, major Feld, odnalazł w starych rękopisach bardzo dokładny rysunek pancernika z r. 1600, zbudowany wówczas w Japonii i spuszczonego na morze. Rysunek ów znajduje się obecnie na wystawie marynarskiej w Portsmouth. Szkielet okrętu pokryty jest całkowicie pancierzem z żelaza i miedzi; nadto okręt zaopatrzony jest w dwa stery, jeden z przodu, drugi z tyłu, a dziesięć armat składało się na uzbrojenie tego szczególnego pancernika, podobnego kształtem do żółwia. „Bardzo zręczna maszyna,” opiewa tekst, dołączony do rysunku, „urządzona była w środku okrętu, w kształcie sterów żelaznych, a wprowadzało ją w ruch około dwudziestu czterech ludzi.”

## SZARADA.

E. L.

*Pierwsze z drugim w głębinach ziemi się ukrywa,  
Trzecie z drugim gdy wielkie, nader zgubnem bywa.  
Wszystko wraz jest rzeka, co w siostrzanej zgodzie,  
Łączy się z naszą Wisłą w pewnym starym grodzie.*

## ŁAMIGŁÓWKA.

Ul. Kasztelanka dla Łochozwaniki.

W ciąż i w niśpie ine łbądź op łaświach,  
Mahuj isę w rguomy cieol;  
Szajnaltwar konspię w ółp chybnord chatwiak,  
Szakajniwiew ćwiekośl — w rociestóp!  
Ob na tmy ewiście skotwysz sęi cimiee,  
W odniłę nieślęk órga,  
Lytko wart lates ot biesok zięcięd,  
Nazwiec, emiznienan: Tauran!  
Przestawić litery, aby utworzyć wiersz.

## ROZWIĄZANIA DO Nru 44-go.

Szarady: Za — wa — dy.

## GINNASTYKA SZWEDZKA dla zdrowych i wiatłych.

Stosuje się także w skrzywieniach kręgosłupa, nierównościach łopatek, w nerwowości, anemii, w wielu objawach złego krążenia i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim, w *Zakładzie Heleny Kuczałskiej, Moniuszki* 9 gmach Tow. Rosya. Cena 3 rub. miesięcznie, pedagogiczna, — 10 rub. lecznicza z masażem. Dla gimnazystek i pensyonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracujących miesięcznie rubla. Chłopcy do lat 12. 4—3

## PRENUMERATA WYNOSI:

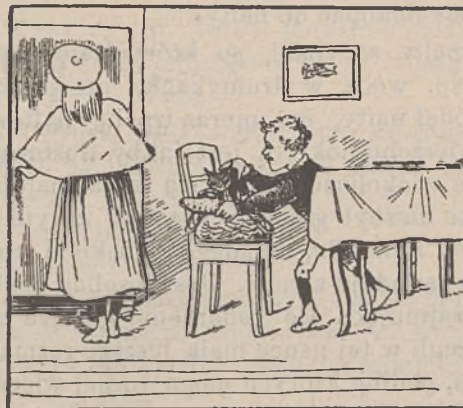
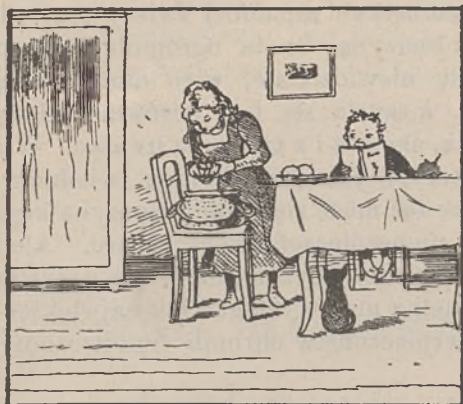
W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** O naszej najdawniejszej pieśni, przez Ign. Chrzanowskiego (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Wiosna i zima, wiersz przez A. L. (z ryc.) — Nowa Koleżanka. — Ze świata. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Zaklęty tort czyli figiel Janka (z ryc.) — Pogadanki z życia codziennego (nafta), przez Irenę Mrozowicką. — Dalszy ciąg historii: Aniołek - złończka, przez Z. B. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piaśką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.



## Zaklęty tort czyli figiel Janka.

## I.

Dla przyjaciółki na imieniny,  
Co podwieczorkiem uczcić się miały,  
Zosia z pomocą starej Malwiny  
Przygotowała prezent wspaniały.  
Jest to wyborny tort pralinkowy,  
Z których wyrobu Malwina znana,  
Już o nim różne „słodkie” rozmowy  
Wśród koleżanek krążą od rana.  
Zosia zamierza odnieść go sama,  
Więc do koszyka ostrożnie wkłada,  
I do pokoju, gdzie siedzi mama,  
By się pożegnać na chwilę wpada.

## II.

Tymczasem Janek na dzieło Zosi  
Z nad książki zerka i ślinkę łyka,  
Na podwieczorek nikt go nie prosi,  
Bo psotnik z niego, figlarz, mantyka.  
Wtem, kiedy Zosia wyszła do mamy,  
Myśl mu złośliwa w głowie zaświta,  
— Nie chcę mnie prosić te wielkie damy,  
Zrobię im figla! zrobię i kwita! —  
Wyjmuje specyał, a do koszyka  
Przerażonego pakuje kota.  
Potem starannie koszyk zamyka,  
I znów nad książką siada niecnota.

(d. n.)

## Pogadanki z życia codziennego.

### N a f t a .

**N**ioja mamusiu, wszyscy rozpowiadają, że stryjcio Kazio dostał miejsce „przy nafcie” — co to znaczy? Czy stryjcio będzie siedział w takim sklepie z naftą, jak pani Mateuszowa?

— Nie, Jureczku, stryjcio dostał miejsce przy kopalniach nafty, ponieważ jest skończonym inżynierem i górnikiem; będzie przeto dyrygował robotnikami, którzy naftę z ziemi dobywają.

— Z ziemi? Mamusia żartuje, — alboważ nafta jest w ziemi?

— Naturalnie w ziemi, podobnie jak wszystkie minerały.

— Ej, czy to nafta minerał? Ja wiem, że sól jest minerałem, bo już się tego uczyłem i wiem, że te kamyczki, które Władzio trzyma w pudełku i powiada, że mu są do nauki potrzebne, to także minerały, ale nafta!... to przecież taki płyn, więcej do oliwy podobny, niż do minerału.

— Rzeczywiście, nafta podobna jest do oliwy lub oleju i nawet nazywają ją „olejem skalnym,” niemniej przeto zaliczamy ją do minerałów, jak to wszystko, co się z ziemi wykopuje.

— A w czymże ona tam jest? przecież tam niema ani baniek na naftę, ani żadnych naczyń.

— A w czymże jest woda, którą pijemy, a która także wypływa z głębi ziemi?

— No, woda jest tak sobie, pod ziemią, aż wypłynie jakim źródłem i ludzie naokoło tego źródła robią studnię. Ale studzien naftowych przecie niema?

— I owszem, są i źródła i studnie naftowe, tylko, że te źródła bywają głębiej ukryte w ziemi, więc chcąc się do nich dostać, trzeba nieraz kopać albo wiercić ziemię bardzo głęboko i taka wywiercona studnia naftowa nazywa się *szybem*.

— A jak ludzie poznają, w którym miejscu trzeba kopać, żeby się dokopać do nafty?

— Rozmaite są znaki, po których się można tego domyślać. Np. woda w strumykach, przepływających w pobliżu źródeł nafty, ma nieraz trochę naftowego zapachu i po wierzchu pokryta jest jakby tłustawą pozłotką. Przytem w okolicach, gdzie się nafta znajduje, trafiają się często niezbyt głęboko w ziemi ukryte pokłady innego znowu minerału, zwanego woskiem ziemnym, który zwykle sąsiaduje z naftą. Jest osobna nauka, zwana *geologią*, zajmująca się badaniem wnętrza ziemi — otóż ludzie biegli w tej nauce mają jeszcze rozmaite obliczenia i znaki, podług których mogą mniej więcej wskazać, czy w jakiej miejscowości może lub nie, znajdować się nafta. Ale są to zawsze wskazówki bardzo niepewne i niedokładne tak, że często szuka się tej nafty, kopie i wierci w ziemi jedną studnię po drugiej, aż w końcu pokaże się, że wszystko na nic, bo nafty albo wcale niema, albo tak jest głęboko, że się do niej dostać nie sposób. Niejeden człowiek już na takich poszukiwaniach nafty stracił cały majątek, bo do wiercenia w ziemi potrzeba bardzo drogich maszyn i dużo robotników, więc to wszystko wiele kosztuje. Za to, gdy się komuś tak powiedzie, że z łatwością dokopie się obfitego źródła nafty to odrazu staje się bogatym, jakby skarb w ziemi znalazł. A co najważniejsza, to, że ze skarbu tego wszyscy mają pożytek, bo nafta każdemu potrzebna.

— Tak, potrzebna — potwierdził poważnie Jureczek. Bez nafty nie można palić lampy, a przy świecy tak ciemno, że nawet obrazków dobrze oglądać nie mogę. Ale co będzie, mamusi, jak ludzie wszystką naftę, jaka jest w głębi ziemi, wypalą?

— Miejmy nadzieję, że do tego tak prędko nie przyjdzie, mój przeznaczone synku — uśmiechnęła się mama — bo ludzie od niedawna dopiero zaczęli poszukiwać i używać nafty, więc zapas jej nie tak prędko się wyczerpie. W Galicyi są bardzo obfite źródła nafty w Karpatach, Rosya posiada jeszcze obfitsze w Kaukazie — a zaś najbogatsze może kopalnie nafty są w Ameryce Północnej.

— A co stryjcio ciągle mówi o jakiejś *ropie*, że jak będzie mało ropy, to nie warto pompować?

— *Ropę* właśnie nazywają naftę taką, jaka się znajduje w głębi ziemi, t. j. zanieczyszczoną rozmaitemi innymi domieszkami. Ropę, czyli naftę surową, zanieczyszczoną, wypompowuje się z ziemi w ogromne zbiorniki i beczki, które następnie odsyłają do fabryki zwanej *rafineryą*, gdzie tę ropę oczyszczają, czyli destylują. Im nafta jest lepiej oczyszczona, tem jest droższa, mniej silny wydaje zapach i nie tak łatwo się zapala, czyli wybu-

cha, więc bezpieczniej można jej używać. Przy destylacyi wydzielają się z ropy najpierw jej części najlotniejsze, z których powstałe płyny noszą nazwę: eterów naftowych, benzyny, gazoliny i t. p. Następnie odchodzi sama nafta oczyszczona, która służy do oświetlania — a z pozostałych części jeszcze robią oleje, używane do smarowania, nawet pewien gatunek węgla, zwany koksem.

— Ach, to ta benzyna, którą mamusia czyści rękawiczki, jest zrobiona z nafty?

— Tak, benzyna jest właśnie esencją najzapalniejszych cząstek nafty — dla tego to tatko tak każe uważać, żeby nie pozostawić zapalanej świecy przy odetkanej flaszeczce z benzyną, bo ta ogromnie łatwo paruje czyli ulatnia się niewidzialnie, więc może zetknąć się z płomieniem, a zapala się bez porównania łatwiej, aniżeli sama nafta, chociaż i z tą trzeba uważać. W ogóle każdy palny materiał, jak jest dla ludzi wielkiem dobrodziejstwem, tak też może się i stać przyczyną klęski, bo zawsze grozi niebezpieczeństwem pożaru. Ale Pan Bóg na to dał nam rozum, abyśmy, używając wszystkich bogactw ziemi, umieli z nich wyciągać jak największe korzyści — a od niebezpieczeństw chronili się ostrożnością i rozsądkiem.

— O, ja mamusiu jestem bardzo ostrożny, bo mi Maryanna nawet nigdy dotknąć się butelki z naftą nie pozwala — oświadczył poważnie Jurek.

Irena Mrozowicka.



## Dalszy ciąg historyi o Aniolku - złościcze.

Stała się rzecz bardzo dziwna, a było to tak: Mama i tatko gniewali się na Anielkę za to, że krzyczała i biła Azorka. Anielcia siedziała smutna ze spuchniętymi oczkami i buzią czerwoną od płaczu; nikt się z nią nie bawił, nikt jej nie pieścił, bo któżby też pieścił złościczkę!

Siedzi Anielka przy oknie i wzdycha, wstydy się swoich grymasów. Wstydy się najwięcej braciszka Józia, który nie jest złościkiem. Józio uciekł z pokoju, bo nie chciał patrzeć na niegrzeczną siostrzyczkę. Teraz stoi przed domem, bawi się czerwoną chorągiewką, którą dostał od cioci. Indor nie lubi czerwonej chorągiewki. Indor jest także złościkiem, rozstawił skrzydła, poczerwieniał, zagulgotał: gul, gul, gul i pędzi wprost na Józia.

Byłby go podziobał, gdyby nie Anielka, Anielka boi się indora, ale teraz nie myśli o sobie, tylko o Józiu. Zeskoczyła z krzesła, biegnie prędko do sieni, a potem przed dom. Nie jest już złościczką, jest znów dobrym aniolkiem, nawet

widziałam takiego aniołka na obrazku jak zasłaniał dziecko skrzydłami. Anielka nie miała skrzydeł, ale miała fartuszek. Ten sam fartuszek, którym obcierała oczy, płacząc ze złości. Teraz rozpostarła fartuszek nad Józiem, zasłoniła go od złego indora i zaprowadziła braciszka do pokoju.

Dobra siostrzyczka.

Mama i tatko przestali gniewać się na Anielkę. Ona jest także wesoła. Żeby tylko nie poźłościła się znów kiedy, bo powiem wam w sekrecie, poprawić złoścniczkę nie łatwo. Wiem nawet jeszcze jedną historię o Anielci, ale tę opowiem innym razem.

Z. B.

*Julia Piasecka.*

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg)

**T**u pan Szymon zdjął okulary, i wytarłszy nos, kręcił głową.

— Hm, hm, wcale niezłe znaleźne, żeby się tak człowiekowi zdarzyło złapać jakiego psiaka na ulicy! Ale bo to pocziwemu człowiekowi wlezie samo co w drogę, jaki włóczęga, co całe dnie baki zbija, to skorzysta, ale człowiek co siedzi cały dzień przy pracy!...

Tu nastąpiło długie milczenie. Prawdopodobnie pan Szymon myślał, jakimby sposobem wziąć obiecane znaleźne, a Wojtaszkowi serce podskoczyło z radości.

— Och, żeby to był ten jego mały piesek, coby było za szczęście! Najpierw biedny, chory chłopczyk ozdrowiałby może, odzyskawszy ulubieńca, a on zarobiłby odrazu taką dużą sumę! Poda teraz ogłoszenie, bo mu już pieniędzy wystarczy i koniec będzie tej biedzie.

Zbliżył się nieśmiało do zamyślonego majstra.

— To piszą w Kurjerze, że dadzą 15 rubli?

— A tak, ale nie takiemu pierwszemu lepszemu, co jakiegokolwiek psa przyniesie, musi być ten sam, a w Warszawie jak pies zginie, to trzeba wiedzieć, gdzie go szukać, bo często zdarzają się złodziejstwa. Naradzić się muszę i pogadać o tym interesie z moim przyjacielem. Ha, trudno, nie można beczynnienie siedzieć. Pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki!

I pan Szymon narzucił na ramiona dziurawy paltot, wsunął czapkę na uszy, i pociągnął do znanej sobie piwiarni.

Wcześniej bardzo wstał Wojtaszek nazajutrz, a prócz fletu zwiąwszy pieska pod kurtkę, wyszedł na miasto.

— Pójdę na Wiejską — pomyślał — jeżeli to ten zaginiony piesek, to im wcześniej go oddam, tem lepiej. A może spodoba się choremu chłopczykowi.

Przebiegł szybko ubogą dzielnicę, a gdy dostał się na szerokie, piękne chodniki głównych ulic, nogi mu drżały z obawy, aby mu broń Boże nie odebrał kto tego skarbu, lub co gorsza nie posądził o złodziejstwo! Coby to było, gdyby go wsadzono do więzienia, mała Nelli

umarłaby chyba ze zmartwienia. Odetchnął dopiero swobodnie, gdy stanął przed drzwiami wskazanego przez stróża mieszkania.

— Czy tu jest ten chory chłopczyk, któremu zginął piesek? — spytał prawie szeptem?

— Tak, a czego chcesz?

— Chciałbym... chciałbym go zobaczyć.

— Nie można, ma gorączkę i nikomu do pokoju wchodzić nie wolno!

— Tak, to szkoda, biedny, chciałbym... możeby pan lub pani...

W tej chwili, jakby umyślnie na życzenie chłopca stanęła we drzwiach młoda osoba, miała oczy czerwone, twarz smutną i bladą.

— Proszę pani — odezwała się służąca — ten chłopiec chce koniecznie zobaczyć Julka, mówiłam mu, że nie wolno, a on wciąż stoi.

Pani zbliżyła się.

— Czego chcesz, mały?

— A to proszę pani, wyczytałem ogłoszenie, że zginął piesek chorego chłopczyka. Ja znalazłem takiego, na wpół już nieżywego, pielęgnowałem go, aż ozdrowiał, może to ten sam?

Wyjął z za kurtki białego pieska, który radośnie począł szczekać, wyrwać się i machać ogonkiem.

— Bil, Bill! — zawołała pani — co za szczęście, Julek, całą noc o nim mówił.

— Daj go daj, pocziwy chłopcze, i wzięwszy pieska pobiegła z nim do pokoju, a do uszów Wojtaszka doleciał niedługo wesoły okrzyk, później śmiech i wołanie:

— Niech on tu przyjdzie, mamusiu, niech koniecznie przyjdzie, ja mu chcę podziękować.

Wprowadzono do pokoju Wojtaszka, gdzie w łóżku leżał blady i chudy, dziecięcioletni chłopczyk; na kółdrze siedział śnieżno-biały pinczerek i lizał chude palce dziecka. Wojtaszek stanął nieśmiało przy drzwiach, Julek wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Chodź bliżej, chcę ci podziękować; opowiedz mi, jak się to stało, gdzie go znalazłeś i co mu było, żeś go musiał pielęgnować?

Wojtaszek począł opowiadać przyciszonym głosem całe zdarzenie, nie pomijając wielkiej swej radości, że pozyska obiecaną nagrodę.

— Więc tak dużo zależy ci na tych pieniądzach? — pytał Julek — cóż z nimi zrobisz?

— O, bardzo mi są potrzebne, od nich zależy szczęście jednej małej dziewczynki.

(d. c. n.)

### METAGRAM.

Na *l* ciemny i zielony,  
Na *p* w kółko zatoczony,  
Na *b* po weselach grywa,  
A bez głowy, w kartach bywa.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 44.

Szarady: Ma — te — ma — ty — ka.

## Łamigłówki w trójkacie

L i g n i c a  
I r t y s z  
G o ł ą b  
N i d a  
I l i  
C o  
A

## Skrzynka do listów.

**Janince S. z Pińczowa.** Prenumerata na oba pisma była zaraz odesłana. Wieczory posyłamy, wymień proszę, brakującą numerą.

**Stefanowi Ł.** jeżeli numer nie doszedł, to po zareklamowaniu w ciągu następnego tygodnia, wysyłamy go powtórnie.

**Dzikiej Litwince.** Nadesłaj Jaskółce swój adres dla Łochozwianki, a otrzymasz jej nawzajem. Zginiony dodatek posyłamy.

**Żądania Haluni O. W.** spełniono. Cieszy nas, że z niecierpliwością oczekujesz „Wieczorów” i czytasz je z zajęciem.

**Choince.** Łamigłówka ułożona bez błędu, ale niektóre tytuły wypadnie zmienić, bo mogą być znane tylko niektórym z naszych czytelników.

**Kalinie z nad Turyi.** Zbiorek poezji Konopnickiej „dla dzieci” kosztuje 20 k, przesyłka 8 k, pierwsza część „Zamku Napierskiego” 30 kop. Należność tę można przysłać markami.

**Halinie Szew.,** posłano. Powiastka, o którą pytasz, w tym roku drukowaną nie będzie.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:**

N. Pol... Marti, Dżek i Dżyl, Jana, Złamana Podkowa, Czarnuszka, Orle Mazowieckie, Mucha, Tecia W., Wańdzia Butler, Stefan Łuk., Orzeszek leśny i Figlarz z pod Buska, Lew Kartagiński, Gwiazda Morska, Juta S., F. Garczyń., Elutka M.

Po powrocie moim do Warszawy, pierwszy to jeszcze list, **Mrówko**, jaki od ciebie odbieram, i niezwłocznie z odpowiedzią pospieszam. Nie powątpiewaj, że zawsze gotową jestem do bardzo akuranej korespondencji z czytelnikami Wieczorów. Dam ci nawet radę, żebyś zawsze jak najprędzej na każdy list odpisywała i nie odkładała nigdy na później. Rozwiązanie łamigłówki dobre. Podręcznik do arytmetyki dla młodszych polecam arytmetykę Jeskego (75 k.), dla starszych M. A. Baranieckiego. Wykład szczegółowy, (1 r. 35 k.)

Dobrze zrobiłaś **Gwiazdeczko**, przełamując pierwsze lody, mam bowiem nadzieję, iż przekonasz się niebawem, jak łatwo wejść ze mną w przyjazne stosunki, tem więcej, że lubię bardzo dziewczynki tak pilne i uważne, które umieją się zastanawiać i myśleć. Dałaś tego dowód, rozwiązując sama zadanie arytmetyczne, choć tak niedawno zaczęłaś się dopiero uczyć.

Rada jestem, że **Heluni Zawisz.** podobają się „Wieczory” i że lubi odczytywać moje odpowiedzi w „Skrzynce;” chętniej się ponosi starania dla czytelników, którzy je oceniać umieją i w naszym piśmie pożytecznej szukają rozrywki. Obiecujesz wprawiać się w szyciu, co ci chwale, bo uważam, że każda panienka musi koniecznie umieć przynajmniej obchodzić się zręcznie z igłą i nitką, jeśli już nie znać się na kroju.

**Podolance i Leśnej Konwalii.** Pamiętam dobrze, jak lubiłam, będąc w pensjonacie, kiedy się zbiegły razem dwa dni świąt, jak dzień W. Świętych z niedzielą w tym roku. Zdawało mi się wówczas, że mam mnóstwo wolnego czasu przed sobą i zarówno jak ty, używałam go nie tylko na czytanie i rozrywkę, lecz na pisanie listów. Oczekiwać będę zapowiedzianego listu Podol.,

a w imieniu Leśnej Konwalii zapytuję **Muszki z nad Peltwi**, czy zdrowa i czy pamięta, kto się ukrywa pod temi pseudonimami.

Nietylko pozwalam — lecz proszę **Przepióreczkę z Podl.** by często pisywała do mnie, nie obawiaj się, abym twoje odezwy zostawiała bez odpowiedzi, życzliwe serduszka moich korespondentek są dla mnie stałą podniętą do utrwalenia raz zaczętej listowej pogawędki. Adres Łochozwiance posłałam.

Chyba przez zbytnią skromność, **Prządko złotych nici**, mniemasz, że się znudzę przy odczytywaniu twego listu, tymczasem jako dawna korespondentka, wiesz aż nadto dobrze, jak lubię „długo i szeroko” gawędzić z wami. Dałaś mi opis ślicznej podtatrzańskiej miejscowości, Widoku, o którym dotąd mało co wiedziałam, i wesoło spędzonych tam wakacji. Ileż to pięknych posiadamy miejscowości. Ale nietylko w górskich okolicach lubować się należy, trzeba umieć patrzeć na otaczającą nas naturę a poznamy i odczujemy właściwy sobie czar i urok, które mają nasze pola, równiny i lasy, bo i one zachwycają oko i radują serce. Posyłka z robotami dostała się do redakcyi, a jeżeli twe ręce równie dobrze władają igłą, jak piórem, śmiało o nagrodzie myśleć możesz. Łochozwiance adres posłałam.

Podwójnie wdzięczną ci jestem kochana **Brzozo**. Najpierw, że pierwsza pragnęłaś się ze mną zapoznać, a powtóre żeś namówiła **Ukr.**, by poszła za twoim przykładem. Długie i zajmujące listy wasze z przyjemnością odczytałam, a na zapytanie, czy rada jestem nowym korespondentkom — odpowiem: Im więcej serc życzliwych dokoła, tem milej i lepiej na świecie każdemu, a cóż dopiero „waszej Jaskółce”, którą ogrzewacie ciepłem waszych uczuć przyjaznych, pociągacie urokiem młodości waszej i swobody! Zamiłowanie do muzyki Brzozo, powinnaś pielęgnować i rozwijać, nie zniechęcając się trudnemi początkami. Wystawiam sobie, że jedna siostra wśród sześciu braci, musisz być wesołą i żywą panienką. Że jesteś wesołą widzę to z twoich upodobań, a o żywości i prędkości miarkuję z paru błędów, które w liście znalazłam. Napiszcie, czy zgadłam, nie dajcie mi długo czekać na następne listy.

Witam cię **Pufciu** po długiem milczeniu wakacyjnem! Dochodziły mnie wieści z twoich stron, że mimo deszczu i niepogody, czas wakacyjny w okolicach grodu Mendoga przeszedł wesoło. Przyjemny odpoczynek nie rozleniwia, lecz przeciwnie, dodaje bodźca i ochoty do dalszej pracy. Żądany adres posyłam ci na karcie. Postanowienie twoje należenia do wszystkich konkursów bardzo pochwalam, tem bardziej, że na rok przyszły więcej konkursów i zadań z nagrodami podawać będziemy, przygotuj więc pióra, ołówki, igły i nowe pomysły! Premium wkrótce otrzymasz.

**Halce z nad Teterowa.** Za ładną kartkę dziękuję. Adres twój Baniucie posłałam. Nie mylisz się, uważając mnie za serdeczną waszą przyjaciółkę.

Łamigłówka **Polnej Myszki** dobrze ułożona, ale boję się, że trochę za łatwa. Czytelnicy „Wieczorów” nawet najmłodsi są już dość wprawni w odgadywaniu różnych łamigłówek.

**Jędrusiowi.** Dobrze robisz, że już opatrzyłeś i wyczyściłeś swoje łyżwy i paski. Zapobiegliwy człowiek powinien zawczasu myśleć o przyszłości i wszystko w porę przygotować, nie odkładając do ostatniej chwili. Tylko tacy dochodzą do czegoś i z każdej sposobności skorzystać mogą należycie.

Wasza Jaskółka.

## NAJPRAKTYCZNIEJSZE

palta, sukienki, kapelusze, sukienki do chrztu,

bielizna dziecienna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 151.

10—7